



Godzina zero jest o północy. Właśnie o tej porze zaczął się dla nas decydujący „dzień”. Wypiliśmy podaną herbatę, zwinęliśmy i spakowaliśmy namioty oraz plecaki. Rano zabiorą je tragarze i zejną w dół. Na szczyt, oprócz naszej szóstki,

ciutę nań bez raków nie było mowy. Za stromo. Dalsza droga była już tylko wybieraniem „najdogodniejszych” przejść między skałami a lodem. Kamienie usuwały się spod nóg i fruwały w dół połączając na niżej idące osoby. Jeden „upolował”

W górze przed nami teren stromiał i pojawiało się coraz więcej śniegu. Na wprost, na tle nieba piętrzył się niepozorny klif lodowy z nawisem śnieżnym. „Jeśli za tym nawisem teren się kładzie, może da się iść bez raków po śniegu”. Pozo-

DŁUGA DROGA NA KILIMANDZARO (2)

idą obaj przewodnicy, Idrisa i jego pomocnik Frank. O godzinie 0.30 opuściliśmy obozowisko. Odtąd przez wiele godzin będziemy iść w świetle latarek.

Początkowo ścieżka była wygodna. Później, gdy weszliśmy na moreny lodowca Arrow zaczęła się walka z ruchomym piarzystym stokiem. Idrisa i Frank zataczali swym światłem szerokie kręgi poszukując właściwej ścieżki. Nocą w takim terenie to naturalne. Jednak z czasem zacząłem się coraz bardziej niepokoić. „Kręcimy straszne esy floresy po osuwającym się piargu. Chodzimy to w górę to w dół bez wyraźnej przyczyny w rzeźbie terenu. To my mamy być 15 godzin na nogach, a oni sobie robią numery i włączają nami w te i we w te?!” Wreszcie zatoczyliśmy półkole i wdrapaliśmy się ponownie na zbocze, z którego przedtem już schodziliśmy. W efekcie stanęliśmy twarzą na wprost stromych skał zbocza doliny. Nasi przewodnicy byli coraz bardziej bezradni.

Nie wytrzymałem i włączyłem się do akcji. Godzinami ślezczałem w domu nad mapą i teraz nieobce były mi, zarówno zasadnicze elementy rzeźby terenu, jak i ogólny przebieg naszej drogi wejściowej. Próbowałem ponadto wydobyć coś jeszcze z Idrisy.

– Rozglądnij się! Popatrz na rzeźbę terenu! Sporo widać. Nie jest tak ciemno.

Ale Idrisa najwyraźniej nie rozumiał o czym mówię. Stracił swoje kopytki, stracił udeptany szlak i był bezradny. Kiedy tylko wysunąłem się na czoło obaj przewodnicy „umyli ręce” i zajęli pozycje w ogonie zespołu. Tym sposobem przejąłem prowadzenie – w środku nocy, poza właściwą ścieżką, w terenie wysokogórskim i z dwoma licencjonowanymi przewodnikami nie znającymi drogi.

Wykonałem najpierw trawers odalający nas trochę od stromych skał. Szybko okazało się, że mamy ograniczenie w postaci skrajnego lodowca. O wej-

Dorotę, silnie uderzając i kalecząc jej nogę. W innych miejscach skalna ściana „zepchnęła” nas do lodowca. Trzeba było wykonać butem parę niedoskonałych stopni oraz zaryzykować kilka kroków. Wkrótce drogę zagroziły skalne prożki, krusze i miejscami zalodzone. Najpierw jeden, potem drugi... Wydawały się niewinne, a praktycznie wymagały dość czujnej wspinaczki z balansowaniem na granicy równowagi. Tymczasem naszą jedyną asekuracją było podanie ręki.

Na szczęście zaczęło świtać. Mieśliśmy już serdecznie dość tych kilku godzin wspinaczki przy mdłym świetle latarek. Teren, jaki ujrzałem przed sobą w świetle dziennym, nie napawał zbyt nadzieją, ale i jej nie odbierał. Wiedziałem już, że nie jesteśmy na właściwej ścieżce – wykluczały to chociażby trudności przebytej drogi i niezgodność z wczorajszą relacją (miało być przecież śnieżnie). Pozostawała jednak nadzieja, że ten nasz wariant nie okaże się ślepym zaułkiem i pozwoli połączyć się z właściwą trasą.

stawiłem zespół daleko z tyłu, żeby mieć możliwość nieskrępowanej penetracji terenu. Skierowałem się ku niewybitnej grani dającej szansę na wgląd w wyższe partie oraz na obejście lodowego klifu.

To był widok-wyrok: zniechęcająco pochylone pola śnieżne, na przemian z jeszcze stromszymi skałami. Spróbowałem paru kroków w butach po śniegu. Nie! Nie ma mowy! Jeśli przyjdę tu z ludźmi to w pierwszych pięciu minutach ktoś poleci. Wycofałem się i ogłosiłem:

– Zawracamy!

To się nie mieściło w głowie. Gdy pokonywaliśmy wszystkie te ryzykowne miejsca w głowach kołatało się – „Jak dobrze, że tędy nie wracamy”. Nasze planowe zejście ze szczytu miało prowadzić inną łatwą drogą, przez Barafu Hut. Szczyt diabli wzięli i łatwe zejście też. Ale to nie wszystko. Tkwiłszy zmęczeni, zniechęceni, w paskudnym miejscu, z którego należało jeszcze zejść. Bezpiecznie zejść!

I pomyśleć, że byliśmy już na wysokości 5500 m n.p.m. (wskazania altim-



Kibo z widocznym pośrodku obniżeniem grani zwanym Western Breach

tru Adama). Nikt nie miał dolegliwości wysokościowych mimo tak wyczerpującej trasy.

– Idrisa, gdzie jest droga!? – wrzasnąłem, gdy do mnie dołączył.

– Tam, jest droga! – pokazał ręką w stronę, z której właśnie zawróciłem.

– Idrisa, tam nie da się przejść bez raków i czekana.

– Ja mówiłem, że będzie trudno... – bronił się przewodnik.

– Trudno!? Tam po prostu nie ma żadnej drogi! Kto tu jest przewodnikiem? Ja, czy Ty? Dlaczego ja prowadzę przez kilka godzin, a nie Ty? – atakowałem.

– . . . (???)

– Powiem Ci dlaczego! Bo Ty jesteś tu pierwszy raz! Bo Ty nie masz pojęcia o górach takich jak te! Jesteś dobrym przewodnikiem, ale od strefy lasu! – wygarniałem bez ogródek co myślałem.

– Ja, przewodnik w lesie!? Ja się gniewam! – obrażał się Idrisa.

– Tak? To gdzie jest droga!? – ripostowałem.

– Tam! – pokazywał w tę samą stronę z uporem równym tupetowi.

– Kłamiesz! Idź tam i zobacz! – wykrzyczałem i nie czekając co zrobi rozpocząłem odwrót. Złość powoli we mnie opadała i pożałowałem, że go tam wystawiłem. Widziałem wcześniej jak się wspina, podawałem mu rękę, a teraz obawiałem się, że może się uwalić.

„Sprowadzić wszystkich bezpieczniej na dół – reszta na razie się nie liczy”.

Zaczęliśmy schodzić. „Ostrożnie, nie spiesz się. Podaj rękę! Uwaga, kamień!” I tak krok po kroku, przez setki metrów w dół. Mijały długie minuty, kwadransy, godziny. Mało odzywaliśmy się do siebie.

W dole lodowca Arrow zauważyłem bardzo wyraźną ścieżkę na morenie środkowej. Niewątpliwie była to właściwa droga, bo dokąd mogłaby tędy prowadzić taka ścieżka jak nie na szczyt. Nocą nasi przewodnicy wykręcili ostro do góry zaraz po przejściu moreny bocznej. Za wcześniej. Teraz miałem ochotę pokazać uparciuchowi Idrisie: – „Patrz, tu jest ścieżka”. Idrisa i Frank zostali jednak daleko z tyłu i najwyraźniej nie zamierzali przejść prowadzenia w łatwiejszym już terenie. Poza tym sam już miałem dość jałowej dyskusji.

Oczywiście ponowienie wejścia w tej chwili było niemożliwe. Tego dnia było już co najmniej o 10 godzin za późno. Co gorsza, nasi tragarze byli już dawno w drodze do bardzo odległego i bardzo nisko położonego 3200 m n.p.m. obozowiska Mweka Hut. I my niestety musieliśmy



Zejscie po nieudanej próbie wejścia przez Western Breach

także tam dotrzeć. Ze sobą nie mieliśmy przecież nic, ani żywności, ani sprzętu biwakowego.

Zatrzymaliśmy się na krótką pogawędkę przy dużym skupisku namiotów rozbitych u czoła lodowca Arrow. Cała ta liczna grupa szykowała się do wejścia naszą niedoszłą drogą w dniu następnym. A my w dół! Koncentracja już nas opuściła. Zostało przygnębienie i żal. Idrisa nadal nie chciał wyjść na prowadzenie. Mentalność dziecka: „obrażony nie wykona swego obowiązku”. Pał go diabli. Wyciągnąłem mapę oraz kompas na wierzch i w drogę.

W dolinie Barranco trafiliśmy na skupiska dorodnych starców. Tak wspinał się widzieliśmy po raz pierwszy. Należny im zachwyt gdzieś jednak wcięto. Wszelki entuzjazm został utracony. Ledwo starczyło chęci na fotografowanie. Natomiast dyskusja „co dalej?” wypełza sama z siebie.

„Ponowimy wejście szczytowe! Nie ponowimy! Trzeba dwóch dni więcej, a nie mamy forsy nawet na opłaty parkowe. Może wystarczy tylko jeden dzień więcej. Szaleństwo! Skąd wziąć na to nowe siły? A światło? Ja już się nie piszę! A ja bym poszedł! Nikt z nas na tę górę więcej nie przyjedzie. 500 dolców! Dobra, kończymy dyskusję. Wrócimy do niej jutro rano. Nie wszyscy dobrze wiedzą, co nas jeszcze dzisiaj czeka”.

Neverending barabara (niekończąca się droga) – tą angielsko-suahilijską hybrydą językową ochrzciliśmy ścieżkę, na której spędziliśmy następne godziny. W górę i na dół, w górę i na dół, po kilkakroć. Beznadziejnie. Bez nadziei w zakończenie tej odysei przed zmrokiem. W to ostatnie jeszcze nie wszyscy wierzą. Nogi już nie niosą. Jesteśmy praktycznie

cały dzień bez jedzenia, jeśli nie liczyć paru szturmowych smakołyków. Tempo spada każdemu różnie, więc rozciągamy się. Na prowadzenie wysunął się Frank. Ja zostałem na końcu z najwolniej idącą Dorotą. Nie tak rzadko mijaliśmy lawowe jaskinie, które podsunęły mi myśl o improwizowanym biwaku. Dorota uważała, że żartuję. Tymczasem zapadł zmrok.

Latarka nie rozświetlała już drogi. Mogła być, co najwyżej, światłem pozytywnym. Weszliśmy na ostatni z grzbietów i odtąd miało być już tylko w dół. Za nami 20 godzin na nogach. Przed nami jeszcze 1000 metrów deniwelacji nocnego zejścia. Nonsens dalszej walki po omacku stał się bardzo wyrazisty.

– No dobrze, zostaliśmy – zgodziła się Dorota.

– Zostajemy na noc!!! – udało mi się jeszcze dokrzyczeć do idącej przodem Beaty.

Byliśmy w odkrytym terenie na wysokości około 4200 m n.p.m. W pobliżu piętrzyło się parę niewysokich skałek. Na szczęście nie wiało i przesiedzenie pod skałką było całkiem wyobrażalne. Odkryłem nieopodal jeszcze lepsze schronienie – małą jaskinię o wyrównanym podłożu. No to mamy prawie dom! Posłanie umościłem jakimś zielskiem rosnącym kępami w okolicy. Mieliśmy też wodę, jednego snickersa i... małą piersiówkę rumu. Niebo rozgwieździło się, a daleko w dole pulsowały światła miasteczka Moshi. Gdyby tak mieć choć jeden śpiwór, mogłoby być całkiem przyjemnie.

Na nic wzajemne przytulanie się i masowanie. Nie upłynęła godzina biwaku, gdy dopadło nas zimno. Rozpaliłem ognisko u wlotu do naszej jaskini. Zielsko w asortymencie podeschniętym okazało

się palne. Dymiło jednak okrutnie, ale było to jedyne dostępne paliwo. Dmuchiwanie, gryzący dym i zażawione oczy. Wycieczki po nowe zapasy suchoziela i krótkie drzemki. Tak upłynął czas do świtu.

Nastał piękny, słoneczny poranek. Odwróceniu plecami do Kibo kontynuowaliśmy zejście do Mweka Hut jeszcze przez 2 godziny. Po drodze spotkaliśmy Idrisę i jednego z naszych tragarzy. Wyszli po nas jeszcze nocą. Ładny, niepotrzebny gest.

Do obozu dotarliśmy akurat na śniadanie. Adam i Jarek „zaszturmowali” niezwłocznie.

– Dziś idziemy do Barafu, a jutro na szczyt i na sam dół! Będzie tylko 1 dzień dłużej.

– Do Barafu *hakuna matata*, ale dzień szczytowy to byłoby 1300 m podejścia i 4500 m zejścia. Czy damy radę?

Początkowo zdania były podzielone, ale i my przecież mogliśmy się podzielić. Kto da radę niech wykorzysta swą szansę do końca. Nadeszła kolej na negocjacje z przewodnikami i z tragarzami.

– Nie mamy żywności – rozłożył beżradnie ręce Idrisa.

– Ja muszę jeść, aby nieść – potwierdził jeden z tragarzy.

– Jak to! To my wczoraj przymieraliśmy głodem. Przedwczoraj nie było lunchu. Dziś ma być jeszcze lunch. I nie ma już żarcia!? – oburzyłem się.

– Lunch dziś będzie już na dole, tam się kupi – argumentował Idrisa.

Uczepiliśmy się myśli, że zakupimy co się da od innych zespołów. Było jednak oczywiste, że im mniej osób tym lepiej. Wszystkie zbyteczne gęby na dół! Przede wszystkim tragarze.

Tymczasem w innej sprawie nastąpił miły moment. Znikły „podzielone zdania” – cała nasza szóstka była gotowa wyruszyć na szczyt jeszcze raz.

– Idrisa, nie martw się jedzeniem. My to załatwimy. Ile chcesz za ponowne wejście?

– Po 100 dolarów od osoby – zakomunikował po namyśle Idrisa.

Zaszokował mnie. To znaczyło razem 600 \$. Wstrząsnęło mną tak mocno, że od razu odzyskałem jasność myśli. To ten szczeniak najpierw daje płamę, ma absolutnie zerowe poczucie winy i jeszcze przez gardło przechodzi mu coś takiego? Po tej konfrontacji postaw plan naszego dalszego działania ukształtował się i dojrzał ostatecznie.

Najpierw wygłosiłem mowę do tragarzy.

„Nie będzie napiwków. Nie jesteśmy zadowoleni, bo nie weszliśmy na szczyt. Nie mamy też pieniędzy. Zamiast napiwków dostajecie dzisiaj wolny dzień i nie będziecie nieśli naszych plecaków. Możecie schodzić na dół”.

Idrisie nie podobał się ten rozwój wypadków.

– Wy nie możecie znieść swoich plecaków, bo są dla Was za ciężkie!

– Idrisa, dopilnuj żeby tragarze zaczęli schodzić. Nie mają na co czekać. My jeszcze długo będziemy tu odpoczywać.

Uwaliliśmy się leniwie obok spakowanych już plecaków udając, że do nikąd nam się już nie spieszy. Po pewnym czasie z niedowierzaniem i ociąganiem tragarze odeszli. Zostali jedynie obaj przewodnicy, ale i im cierpliwości szybko zabrakło.

– Krzysztof, o co ci chodzi? Jeśli coś było nie tak, to powiedz – rznął dumia Idrisa.

– Idrisa, czy możesz mi pokazać nasz „permit” (zezwolenie).

Obejrzałem permit, poczym schowałem go sobie.

– Słuchaj uważnie, Idrisa. Idziemy na Uhuru Peak. Ty i Frank idziecie z na-

mi. O pieniądzach nie ma mowy. O tym będziemy rozmawiać z szefem firmy. Ty i Frank macie sobie sami zapewnić żywność w zamian za nie otrzymane przez nas posiłki. Zrozum mnie dobrze. Tragarze dostali wolne. Wy nie! Jeśli z nami nie pójdziecie to znaczy, że zostawiliście nas w górach.

Idrisa skoczył jak oparzony.

– To jest szalony lider! – krzyczał – Nie słuchajcie go! Ja nigdzie nie idę! Bez pieniędzy...!? Ja mam kontrakt na 5 dni!

My w tym czasie zarzucaliśmy plecaki na plecy i ruszaliśmy w górę.

Nim opuściliśmy polanę znaleźliśmy 3 bakłażany, 2 ogórki i cytryny. Były to resztki porzucone przez naszego kucharza.

– Bierzemy!

– Ale to brudne?

– Co tam brudne! Ważne, że jadalne.

Idrisa i Frank nie poszli z nami. W ten sposób uzyskaliśmy jedyny w swoim rodzaju luksus, jakiego nie ma żaden turysta na Kilimandżaro. Byliśmy sami. I chociaż przygniał mnie wielki plecak, choć gnębiło mnie niewyspanie, czułem się wolny i nieskrępowany. Dopiero po 4 godzinach podejścia minąłem jaskinię, w której rozpocząłem dzień. Po 7 godzinach dobrnąłem do Barafu Hut – obozowiska u stóp Kibo na wysokości 4600 m n.p.m. W tym strategicznym punkcie trudno było liczyć na to, że nikogo nie zastaniemy.

Murzyńska obsługa dwóch zespołów była bardzo zdziwiona naszym pojawieniem się. Niemal z marszu usiadłem do negocjacji. Wstępne założenie moich rozmówców brzmiało: „Sami nie możecie iść”. Nie wchodząc w przedwczesną polemikę roztoczyłem dramatyczną opowieść o naszych perypetiach i uzałem się nad szczupłością naszego budżetu. Wkrótce dobiliśmy targu: dołączymy do nich za 80\$ od całej naszej sześcioosobowej grupy. Zostaliśmy też zaprowiantowani w zakresie dwóch kolejek herbaty (jednej „już”, drugiej o północy).

Jedzenie nie było tak ważne jak picie, a w Barafu Hut nie ma wody. Przyносzą ją tragarze.

Była 21.00 gdy położyłem się spać. „Jak dobrze, że mamy swoje namioty..., jak dobrze, że tutaj jesteśmy, ...a teraz spać szybko”. Ledwie zamknąłem oczy, a już była północ. Pobudka. Kilimandżaro czeka.

Wmieszani w dobrze oświetlony, międzynarodowy „tłumek” posuwaliśmy się zakosami ścieżki, monotonna w górę. Podgryzaliśmy jakieś energetyczne batony o konsystencji starego kleju do gumy, które udało nam się wczoraj zdobyć od schodzących turystów.



Wschód słońca nad Mawenzi oglądany z Kibo

W porównaniu z naszą walką na piargach przed dwoma dobami, podejście było luksusowe. Zerwał się jednak zimny, porywisty wiatr utrudniający oddech i zmuszający do ruchu bez dłuższego odpoczynku. Dorocie powrócił problem krótkiego oddechu i szła coraz wolniej. W pewnym momencie wydawało się, że może nie dojść. Ale i cel był coraz bliżej. Wkrótce weszliśmy na śnieg, a o świcie na grań krateru Kibo w miejscu zwanym Stella Point.

Niebo na wschodzie jaśniało. Słoneczna kula wytaczała się ponad czarną sylwetką Mawenzi. Z drugiej strony patrzyliśmy na największe skupisko lodu i śniegu w Afryce. Grań krateru wygięta w róg wznosiła się łukiem ku swemu najwyższemu punktowi.

Tam był Uhuru Peak. Był już tak blisko, że nikomu nie mógł się wymknąć. Nawet Dorocie. *Pole, pole* (powoli, powoli) ruszyliśmy spacerem na szczyt.

Beata Ilczuk, Adam Kutny, Krzysztof Lisowski, Jarek Nowacki, Dorota Rutkowska i Grzegorz Wójcik – wszyscy weszliśmy rankiem 28 lutego 1998 roku na najwyższy szczyt Afryki. Kilimandżaro było nasze. Mimo porażki i wątplenia w pierwszym podejściu. Mimo głodu, niewyspania i zmęczenia. Wbrew tylu przeciwnościom losu – staliśmy na szczycie. Pogoda była piękna, chmury oglądaliśmy od góry.

W zejściu czekała nas ponownie przyjemność samodzielnego wędrowania. Nasi nocni przewodnicy i ich klienci schodzili inną drogą. My wracaliśmy do namiotów pozostawionych w Barafu Hut. Kucharze tamtych zespołów czekali na nasz powrót i powitali nas serdecznymi gratulacjami. Otrzymaliśmy po talerzu zupy. Ugotowali też nasze znaleźne bakłażany. Wszystko bardzo nam smakowało.

Mimo, że czas naglił, koniecznie musieliśmy się zdrzemnąć. Zalegliśmy w namiotach na niecałą godzinę. Tymczasem minęło południe. Na resztę dnia pozostało nam 3000 metrów deniwelacji do zejścia. Bagatela! Cały ten pośpiech był po to, by opuścić Park Narodowy Kilimandżaro z jednodniowym tylko opóźnieniem. I tak spodziewaliśmy się afery na bramie parku.

Wkrótce po opuszczeniu obozowiska wypiliśmy ostatnią wodę. Byle do Mweka Hut. Tam powinni być jacyś ludzie i może uda się wyłudzić herbatę. Udało się. I to nawet bez pieniędzy. Dalsza droga prowadziła przez wysokopienną dżunglę. Niestety, jakieś podświadome oczekiwanie, że „im niżej tym łatwiej” wzięło w łeb. Ścieżka stała się niezwykle śliska i rozcięta w pól wąskim, podłużnym



Szczytowe partie Uhuru Peak

ściekiem. Nie sposób było posuwać się szybko. Od czasu do czasu ktoś upadał w błoto.

– Nie chcę nic więcej, tylko żeby skończyła się ta ścieżka – zaklinała rzeczywistość Beata. Byliśmy ciągle w lesie, a tymczasem Słońce zniżało się coraz bardziej.

– Popatrzcie dziewczyny, jak tu pięknie, jak ładnie zachodzi Słońce – odezwał się prowokacyjnie. Niedobrze! Nikt nic nie odpowiedział. Atmosfery do żartów brak. Znow od dwudziestu godzin byliśmy w drodze, której końca nie było widać.

Przez bramę parku przeszliśmy już po zmroku, przez nikogo nie zauważeni i nie zatrzymywani. Dopiero w centrum wioski Mweka, pomimo panujących tam egipskich ciemności, znalazł nas strażnik parku. Okazało się, że cała wioska wiedziała o grupie Białych którzy mieli wczoraj zejść, a zostali sami na górze. Poprzedniego dnia czekał na nas samochód oraz szef firmy turystycznej we własnej osobie, który zostawił nawet dla nas list. Idrisa oczywiście nagadał bzdur. Teraz wszyscy byli ciekawi, a szczególnie parkowy strażnik. „Co się stało?”

Naszą linią obrony był atak. „Idrisa to żaden przewodnik! Nie zna gór! Chcemy na policję!” Strażnik bardzo nas namawiał, by pozostać w Mweka do rana i wyjaśniać wszystko nazajutrz. „Nie ma mowy, załatw nam samochód albo idziemy do miasta Moshi pieszo. Co? Nie możemy? Owszem możemy i zrobimy to! Jesteśmy wolnymi ludźmi w wolnym kraju. Paszporty? O, nie! Nie mamy! Są w depozycie w ambasadzie”.

To ostatnie było już kompletnym łągarstwem, jako że w Tanzanii nie ma nawet polskiej ambasady. Gdy rozmowa

zmierzała w nieodpowiednią stronę (zezwolenie, dodatkowy dzień w parku), udawałem, że słabo znam angielski. Brakiem zrozumienia wybijałem mego rozmówcę z toku dyskusji i czym prędzej narzucałem własny temat. „Co z samochodem? Dlaczego nie możesz dzisiaj załatwić? Na pewno jesteś ważną osobą w tej wsi i możesz”.

W miarę trwania dyskusji utwierdzałem się w przekonaniu, że Parkowi nie należy dopłacać, ani złamanego szylinga. Ostatecznie to oni wydają licencje takim chłopakom jak Idrisa. Cała ta gra miała jednak poważną wadę. Rozciągała się w czasie, a niektórzy z nas zasypiali już na stojąco. Koniec końców, uzyskałem satysfakcjonujący efekt tego mozolnego, trwającego ponad godzinę dialogu. Strażnik otrzymał ode mnie permit, listę naszych nazwisk i zrobiony naprędce spis naszych żalów. My natomiast dostaliśmy samochód. Cena 50 \$ za kurs była trochę wygórowana. To jednak drobiazg w porównaniu z 65 \$ od osoby, jakie groziły nam za dodatkową dobę w parku.

Nocna jazda terenową drogą do Moshi nie obyła się bez przygód. Nasz wehikuł rozkraczył się po kilometrze, ale jakimś niesprecyzowanym cudem kierowca załatwił w kwadrans samochód zastępczy. Tym drugim wozem dotarliśmy już bez przeszkód pod hotel w mieście Moshi.

Kiedy zasiedliśmy za stołem hotelowej restauracji na zegarze wybiła północ. Dokładnie 24 godziny wcześniej wydobyliśmy się ze śpiworów, by rozpocząć najważniejszy dzień naszej wyprawy. Teraz Kilimandżaro nasze. Czas na odpoczynek. Przed nami Zanzibar, plaże z palmami i ciepłe wody oceanu.

Tekst i zdjęcia: Krzysztof Lisowski